

FRONDA

GILBERT K.
CHESTERTON

An impressionistic painting depicting a scene in a doorway. Three men are visible: one on the left in a dark suit, one in the center in a light-colored jacket, and one on the right wearing a dark hat and coat. The style is characterized by thick, expressive brushstrokes and a rich, somewhat dark color palette with highlights of yellow and blue. The background shows architectural details like a door and windows, rendered with similar painterly techniques.

**Klub niezwykłych
zawodów**

POWIEŚCI
Z KRZYŻYKIEM

W serii
POWIEŚCI Z KRZYŻYKIEM
dotychczas ukazały się:

GILBERT KEITH CHESTERTON
KULA I KRZYŻ
CZŁOWIEK, KTÓRY BYŁ CZWARTKIEM
PRZYGODY KSIĘDZA BROWNA
NAPOLEON Z NOTTING HILL
LATAJĄCA GOSPODA
KLUB NIEZWYKŁYCH ZAWODÓW

GERTRUD VON LE FORT
PAPIEŻ Z GETTA

WALTER M. MILLER JR
KANTYCZKA DLA LEIBOWITZA

BRIAN MOORE
KATOLICY



W przygotowaniu:

Gilbert Keith Chesterton
POETA I WARIACI

Gilbert Keith Chesterton

**Klub
niezwykłych
zawodów**

FRONDA

Tytuł oryginału
THE CLUB OF QUEER TRADES

Copyright © 2009 by FRONDA PL Sp. z o. o. Warszawa

Tłumaczenie

Zofia Sroczyńska

Redakcja i korekta
Robert Jankowski

Projekt graficzny serii
Halina i Bartłomiej Kuźniccy

Projekt okładki
Barbara Piotrowska

Opracowanie typograficzne i łamanie
PanDawer, www.pandawer.pl

ISBN 978-83-60335-44-4

Wydawca
FRONDA PL Spółka z o. o.
ul. Jana Olbrachta 94
01-102 Warszawa
tel. (22) 836 54 44, 877 37 35
faks (22) 877 37 34
e-mail: fronda@fronda.pl
www.fronda.pl

Menedżer projektu
Wojciech Salwa

Druk i oprawa
Drukarnia GS Sp. z o.o.
ul. Zabłocie 43
30-701 Kraków

OKROPNE PRZYGODY MAJORA BROWNA

Rabelais lub jego szalony ilustrator Gustaw Doré musieli z pewnością w jakiś sposób wpłynąć na projekty czegoś, co w Anglii i Ameryce nazywa się mieszkaniami. To naprawdę iście gargantuańska idea taka oszczędność miejsca przez spiętrzanie domów, jedno nad drugim, bez względu na frontowe drzwi i inne tym podobne szczegóły. W chaotycznym labiryncie prostopadle przecinających się ulic Londynu wydarzyć i mieścić się może wszystko. I właśnie na jednej z takich ulic natknąć się można na biuro Klubu Niezwykłych Zawodów. Sądząc z pozorów wydawałoby się, że nazwa klubu powinna zwracać ogólną uwagę i zatrzymywać przechodniów, ale w tym olbrzymim, mętным rojowisku nic nie jest w stanie zwrócić niczyjej uwagi ani nikogo zatrzymać. Tu przechodnie pochłonięci są całkowicie własnymi, pożąłowaniami godnymi sprawami, które załatwić można bądź w agencji żeglugowej „Montenegro”, bądź w londyńskim przedstawicielstwie biura „Rutland Sentinel” i wespółzrozumnie mijają mroczne ulice, jak gdyby błądząc we śnie po jakichś ciemnych korytarzach. Gdyby Tugowie otworzyli filię Towarzystwa Mordowania Cudzoziemców w jednym

z ogromnych gmachów na Norfolk Street i wydelegowali tam ujmującego pana w okularach, aby udzielał wszelkich informacji, nikt by go o nic nie pytał. Klub Niezwykłych Zawodów rezyduje w jednym z takich właśnie wielkich gmachów, ukryty w jego wnętrzu jak skamielina w potężnym zboczu skały.

Charakter wspomnianego klubu, jak się wkrótce przekonamy, można łatwo i prosto sprecyzować. Jest to instytucja ekscentryczna i cygańska, a bezwzględnym warunkiem przyjęcia do niej jest wynalezienie przez kandydata jakiegoś sposobu zarobkowania. Musi to być jednak całkowiec nowy zawód. Dokładne wyjaśnienie tego warunku zawarte jest w dwóch zasadniczych punktach statutu. Po pierwsze, nie może to być tylko sprytne wykorzystanie czy też modyfikacja już istniejącego zawodu. Klub nie przyjmie na przykład agenta ubezpieczeniowego jedynie dlatego, że zamiast ubezpieczać ludziom meble od ognia, zechce on, powiedzmy, ubezpieczać ich spodnie przed zębami wściekłego psa. Zasada (jak to dowcipnie i wnikliwie wyjaśnił sir Bradcock Burnaby-Bradcock w swym niezwykle elokwentnym i pełnym polotu przemówieniu na zebraniu klubowym, gdzie poruszono tę kwestię w związku ze sprawą Stormby i Smitha) pozostaje tu bowiem ta sama. Po drugie, wymyślony zawód musi rzeczywiście przynosić dochód i być jedynym źródłem utrzymania projektodawcy. Klub nie może więc przyjąć kogoś po prostu dlatego, że temu komuś spodobało się nagle spędzać życie na kolekcjonowaniu starych puszek od sardynek – chyba że potrafi dorobić się na tym

procederze okazałego majątku. Profesor Chick wyjaśnił to w sposób zupełnie oczywisty. Ale jeśli przypomnimy sobie, na czym polega nowy zawód, wynaleziony przez profesora Chicka, nie wiadomo, czy lepiej śmiać się, czy płakać.

Wykrycie tego dziwnego stowarzyszenia było czymś niesłychanie podnoszącym na duchu. Dowiedzieć się, że na świecie może narodzić się dziesięć nowych zawodów, to po trosze tak, jak gdyby patrzyło się na pierwszy statek albo pierwszy pług. Człowiek uświadamia sobie wówczas to, o czym zawsze pamiętać powinien, a mianowicie, że żyje na świecie, który jest jeszcze w kolebce. W tym zaś, że w końcu musiałem wpaść na trop tak niezwykłego stowarzyszenia, nie było, muszę nie chwaląc się wyznać, nic tak bardzo nadzwyczajnego, cierpię bowiem na manię należenia do ilu tylko można klubów i śmiało można mnie nazwać „kolekcjonerem klubów”, na rozkładzie posiadam bowiem okazałą i różnorodną ich listę, a w latach mojej zuchwałej młodości złowiłem nawet Ateneum. Kiedyś opowiem jeszcze o kilku innych stowarzyszeniach, do których należałem. Opiszę wówczas szczegółowo działalność Towarzystwa Pośmiertnego Obuwia (tej pozornie amoralnej, ale niewątpliwie potrzebnej konfraterni), wyjaśnię ciekawą genezę klubu Kot i Chrześcijanin, którego nazwę przez długi czas tak haniebnie i fałszywie interpretowano, i świat dowie się wreszcie, czemu Instytut Maszynopisania połączył się z Ligą Czerwonego Tulipana. O Lidze Dziesięciu Filiżanek Herbaty, oczywiście, nie wspomnę ani słowem. Niewątpliwie jednak pierwsze

moje rewelacje będą dotyczyły Klubu Niezwykłych Zawodów, który, jak już wspomniałem, był tak wyjątkowej klasy, że prędzej czy później musiałem się z nim zetknąć z tytułu mojej osobliwej manii. Burzliwa młodzież naszej stolicy przezwala mnie żartobliwie „Królem klubów”. Nazywają mnie również „Cherubinkiem”, z racji mego zdrowego wyglądu i żywych rumieńców, które zachowałem mimo podeszłego wieku. Marzę tylko, by nieśmiertelne duchy na tym drugim, lepszym świecie jadały równie dobre obiady, jak ja na tym padole. Wracając jednak do Klubu Niezwykłych Zawodów, wiąże się z nim pewien bardzo ciekawy szczegół. Najdziwniejsze bowiem z wszystkiego jest, że to wcale nie ja go wykryłem. Dokonał tego mój przyjaciel Bazyli Grant, marzyciel i mistyk, niezmiernie rzadko wynurzający się na świat ze swego poddasza.

Niewiele osób wie coś bliższego o Bazylim. Nie jest on jednak bynajmniej nietowarzyski, gdyby bowiem pierwszy lepszy przechodzień z ulicy trafił przypadkiem do jego mieszkania, przetrzymałby go na rozmowie do białego rana. Jest więc tylko dlatego tak mało znany, że jak wszyscy poeci potrafi obchodzić się bez ludzi. Pojawienie się czyjeś oblicza wita równie radośnie jak nieoczekiwaną zmianę barw w łunie zachodu. Ale w równym stopniu nie tęskni do tych odwiedzin, jak nie oczekuje żadnych zmian w obłokach podczas zachodu słońca. Mieszka na dziwacznym i komfortowym stryszku wśród dachów przedmieścia Lambeth. Otacza się artystycznym nieładem, dziwnie kontrastującym z okolicznymi ruderaми, gromadząc na tym romantycznym śmietniku okryte

warstwą kurzu stare fantastyczne księgi, antyczne miecze i broje. Ale twarz Bazylego wydaje się na tle tych wszystkich donkiszotowskich rekwizytów dziwnie mądra i nowoczesna. Jest to mocna, uczciwa twarz. I tylko ja jeden wiem, kim jest Bazyl.

Chociaż działo się to dawno, wszyscy pamiętamy straszną i zarazem śmieszną scenę, jaka rozegrała się w X, gdy jeden z najprzenikliwszych i najbardziej znamienitych sędziów angielskich nagle zwariował w czasie rozprawy. Mam swój własny pogląd na tę sprawę, ale jeśli chodzi o suche fakty, są one nie do zakwestionowania. Od paru już miesięcy, a nawet od kilku lat wielu ludzi zauważyło pewną niezwykłość w zachowaniu sędziego. Jak gdyby przestał się on pasjonować prawem, w którym wykazywał dotychczas niewiarygodną biegłość, siejąc postrach jako radca królewski, a zaczął trudnić się udzielaniem całkowicie prywatnych porad moralnych stronom zainteresowanym. Zaczął przemawiać właściwie tonem księdza czy lekarza, wyróżniając się w dodatku niespotykaną elokwencją. Prawdopodobnie pierwszego wstrząsu doznali wszyscy, gdy do podsądnego, oskarżonego o popełnienie zbrodni w afekcie, zwrócił się ze słowami: „Skazuję podsądnego na trzy lata więzienia w solennym, głębokim i świętym przekonaniu, że trzy miesiące wypoczynku nad morzem byłyby tym, czego naprawdę potrzebuje”. Stojąc za swoim sędziowskim pulpitem oskarżał przestępców nie tyle o jawne wykroczenia przeciwko prawu, co o winy, o których nigdy nie słyszano w trybunałach, a mianowicie o potworny egoizm, brak poczucia humoru i rozmysłnie

podsycałą złośliwość. Osiągnęło to punkt kulminacyjny w słynnym procesie brylantowym, w którym łaskawie i niechętnie wystąpić miał sam premier, świetny patrycjusz, by świadczyć przeciwko swojemu lokajowi. Po dokładnym przeanalizowaniu drobiazgowo przedstawionych warunków życia służby, sędzia poprosił premiera o ponowne zajęcie miejsca na ławie świadków, co ów dostojnik uczynił z ostentacyjną powagą. Wtedy sędzia zwrócił się do niego niespodziewanie surowym głosem: „Niechaj pan sprawi sobie nową duszę. Pańska dusza nie nadaje się bowiem nawet dla psa. Niechaj pan sobie sprawi nową”. W oczach wszystkich rozsądnie myślących ludzi była to oczywista zapowiedź smutnego i tragicomicznego dnia, w którym podczas przewodu sądowego przewodniczący nagle postradał rozum. Był to proces o zniesławienie między dwoma znamienitymi i bardzo wpływowymi finansistami, przy czym przeciwko obu stronom została wniesiona skarga o poważne sprzeniewierzenie. Sprawa była długa i skomplikowana, wywody adwokatów zawite i kwieciste, aż w końcu po wielu tygodniach wypracowanych przemówień retorycznych nadszedł czas, by znakomity sędzia podsumował rozprawę. Wszyscy niecierpliwie oczekiwali jednego ze słynnych popisów jego miazdząco jasnego i logicznego rozumowania. Podczas tego przewlekłego procesu sędzia niemal wcale nie zabierał głosu, a gdy rozprawa dobiegła wreszcie końca, wyglądał na smutnego i przygaszonego. Wstał i przez chwilę milczał, a potem zaczął śpiewać pełnym, donośnym głosem. Pieśń jego (jak mi powtarzano) brzmiała następująco:

*Och, ecie pecie, tere fere,
Tere fere, tere fere,
Ecie pecie, tere fere,
Tere fere bum!*

Zaraz potem wycofał się z życia publicznego i osiadł na poddaszu w Lambeth.

Bawiłem tam u niego pewnego dnia około szóstej po południu, delektując się kieliszkiem wspaniałego burgunda. Bazyli przechowywał to szlachetne wino za stosem zapisanych foliów. Przemierzał właśnie wielkimi krokami pokój, sprawdzając lekko w palcach, jak to miało w zwyczaju, ostrze jednego z potężnych mieczy ze swojej słynnej kolekcji. Czerwony blask płonącego na kominu ognia oświetlał jego mocne, wyraźne rysy i kładł się miękko na dumnej siwej głowie. Oczy Bazylego były tego popołudnia jeszcze bardziej zamyślane niż zwykle, i właśnie otwierał usta, by przemówić rozmarzonym tonem, gdy drzwi rozwarły się nagle na całą szerokość i błądy rudowłosej mężczyzna, w płaszczu grubo podbitym futrem, ciężko dysząc wpadł do pokoju.

— Przepraszam cię za kłopot, Bazyli – wykrztusił – ale pozwoliłem sobie... umówić się tu z pewnym panem... z klientem... za pięć minut... Przepraszam pana, sir – i skłonił mi się uprzejmie, jak gdyby prosząc o wybaczenie.

Bazyli uśmiechnął się do mnie.

— Nie wiedziałeś zapewne – powiedział – że mam brata, człowieka praktycznego. Oto pan Rupert Grant, który potrafi zrobić wszystko, co tylko możliwe. Gdy ja

okazałem się do niczego w swoim jedynym fachu, on jest zawsze niezawodny. Pamiętam go jako dziennikarza, pośrednika mieszkaniowego, wynalazcę, wydawcę, nauczyciela i... kim teraz jesteś, Rupercie?

— Jestem obecnie, już od pewnego czasu – z niejaką godnością odparł Rupert – prywatnym detektywem. A oto i mój klient.

Głośne pukanie do drzwi przerwało mu nagle, a za ledwie padło słowo pozwolenia, drzwi otworzył się gwałtownie i do pokoju wszedł wysoki elegancki mężczyzna. Energicznym ruchem położył swój jedwabny cylinder na stole i powiedział: – Dobry wieczór, panowie – ze specjalnym akcentem, który zdradzał, że nowo przybyły jest zamiłowanym służbistą, a jednocześnie człowiekiem wykształconym i wyrobionym towarzyszko. Miał dużą głowę, szpakowate włosy i sterzące wąsiki, które nadawały jego twarzy wyraz zaciętości, czemu jednakże przeczyły melancholijne, błękitne jak niebo oczy.

Bazyli natychmiast zaproponował mi: – Przejdźmy do drugiego pokoju – i zwrócił się w stronę drzwi, ale nieznajomy zaoponował:

— Bynajmniej. Przyjaciele zostają. Możliwość pomocy.

Gdy tylko usłyszałem jego głos, przypomniałem sobie, kim był. Był to niejaki major Brown, którego przed paru laty spotykałem u Bazylego na przyjęciach. Zagubiła mi się już w pamięci jego czarna, dystygowana sylwetka i duża, dostojna głowa, zapamiętałem jednak osobliwą manierę mówienia, która polegała na wyrzucaniu z siebie za ledwie czwartej części każdego zdania i to ostro,

w sposób podobny do strzału z karabinu. Nie wiem, czy przyczyną tego nie było przypadkiem przyzwyczajenie do wydawania wojskowych komend.

Choć major Brown był kawalerem V.C.* i wybitnie zasłużonym żołnierzem, nie miał jednak żadnych cech wojownika. Jak wielu owych niezłomnych mężów, którzy odzyskali Indie Wschodnie, był człowiekiem o wrodzonych zamiłowaniach i gustach starej panny. Ubierał się elegancko, ale poważnie, i był pedantem aż do granic precyzyjnego ustawiania filiżanki. Ale pod jednym względem major był fanatykiem, niemal równie żarliwym, jak gdyby w grę wchodziły kwestie religijne – a mianowicie żywił prawdziwy kult dla bratków. Kiedy opowiadał o swoich osiągnięciach w tej dziedzinie, jego niebieskie oczy błyszczały jak u dziecka na widok nowej zabawki. A były to te same oczy, które pozostały niewzruszone, gdy zwycięskie wojska wiwatowały na cześć marszałka Roberta na polu pod Kandaharem.

— A więc, majorze – z wielkoduszną serdecznością powiedział Rupert Grant, rozsiadając się wygodnie w fotelu – jakie pan ma kłopoty?

— Żółte bratki. Piwnica. P. G. Northover – wyrecytował major ze świętym oburzeniem w głosie.

Spojrzelśmy na siebie pytająco. Bazyli, który miał jak zazwyczaj marzycielsko przymknięte oczy, zapytał po prostu:

— Przepraszam, nie zrozumiałem pana.

* Victoria Cross – Krzyż Wiktorii, najwyższe angielskie odznaczenie wojenne.

— To fakt. Ulica, wiecie panowie, człowiek, bratki. Na murze. Groźenie śmiercią. Coś. Niedorzeczne.

Potrząsnęliśmy uprzejmię głowami. Słowo po słowie, głównie dzięki pomocy pozornie drzemiącego Bazylego Granta, udało nam się jakoś sklecić w całość urywkową, ale niezwykle ciekawą opowieść majora. Byłoby niegodne narażać czytelnika na męki, przez które przeszliśmy, opowiem więc historię majora Browna własnymi słowami. Ale czytelnik musi wyobrazić sobie tę scenę. Oczywiście Bazylego, przymknięte niby w transie, jak miał w zwyczaju, oraz Ruperta i moje, coraz większe w miarę, jak słuchaliśmy jednej z najbardziej zadziwiających historii na świecie z ust małego, czarno ubranego pana, wyprostowanego sztywno na krześle i mówiącego stylem telegraficznym.

Major Brown był, jak wspomniałem, zasłużonym żołnierzem, bynajmniej jednak nie entuzjastą militarysty. Nie czuł się więc ani trochę nieszczęśliwy z powodu przejścia na emeryturę i z prawdziwą radością wynajął małą, przyjemną willę, podobną do domku lalek, by resztę swojego życia poświęcić bratkom i słabej herbatce. Świadomość, że wszelkie trudy wojenne ma za sobą, odkąd zawiesił swoją szablę w małym frontowym hallu (obok dwóch zwykłych rondli i marnej akwareli), by zamiast niej ująć w dłoń grabie, niby berło władzy w niewielkim słonecznym ogródku, napawała go niemal takim szczęściem jak wpłynięcie do jakiejś cichej, rajskiej przystani.

Podobny do Holendra i nieco pedantyczny w swoich zamiłowaniach ogrodniczych zapewne rozmyślnie sadił

swoje kwiaty rządkiem niby oddziały żołnierzy. Należał do typu ludzi, którzy zdecydowanie wolą umieścić nie trzy, a cztery parasole w stojaku, żeby dwa przechylały się w jedną, a dwa w drugą stronę, życie bowiem przedstawiało mu się jak książka z gotowymi wzorami rysunków. Z pewnością więc nie uwierzyłby, czy może nawet nie rozumiał, gdyby mu ktoś powiedział, że w odległości zaledwie kilku kroków od muru jego zaczarowanego rajy los porwie go w wir tak niewiarygodnej przygody, iż czegoś podobnego nie tylko nigdy nie widział, ale nawet mu się o tym nie śniło ani w podstępnej, strasznej dżungli, ani w czasie najzaciętszego boju.

Pewnego wietrznego, ale słonecznego popołudnia major, jak zwykle nienagannie ubrany, wybrał się na swoją codzienną zdrowotną przechadzkę. Minął kilka szerokich, reprezentacyjnych ulic, aż wreszcie przypadkiem skręcił w jedną z tych na pozór ślepych uliczek, które ciągną się między murami długiego pasa ogródków, na tyłach szeregiem stojących domów. Szarość i pustka tej uliczki budziły w przechodniu dziwne uczucie, że nagle znalazł się za kulisami jakiegoś teatru. Ale chociaż każdemu z nas zakątek ten mógłby się wydać nędzny i ponury, nie był on taki bynajmniej w oczach majora, gdyż na wysypanym żwirem chodniku ukazało się zjawisko, które było dla niego widokiem równie podniosłym, jak pochód procesji dla człowieka nabożnego. Wielki, barczysty mężczyzna o mętnych niebieskich oczach i ogniście rudej brodzie, która okalała mu twarz, pchał przed sobą taczkę mieniącą się tęczą niezrównanych kwiatów. Były tam

wspaniałe okazy niemal każdego gatunku, ale przeważały ulubione przez majora bratki. Major przystanął i zagłębił się w rozmowie ze sprzedawcą, a w końcu zaczął pertraktować w sprawie zakupu. Rozmawiał przy tym ze sprzedawcą w sposób charakterystyczny dla wszelkiego typu kolekcjonerów i innych szaleńców, to znaczy najpierw z pewnym wysiłkiem starannie oddzielił najpiękniejsze flance od mniej okazałych, pierwsze pochwalił, drugie zganił, wreszcie dokonał wnikliwej i subtelnej oceny, układając kwiaty rzędem, od najcudowniejszych i najrzadszych do wzgardzonych i niegodnych uwagi, po to tylko, by w rezultacie kupić je wszystkie bez wyjątku. Sprzedawca zbierał się już z taczkami do odejścia, ale nagle rozmyślił się i podszedł do majora.

— Chciałem panu coś poradzić, sir – powiedział – jeżeli naprawdę tak się pan interesuje tym zielskiem, proszę wskoczyć na ten tu murek.

— Na ten mur?! – krzyknął zgorszony major, którego konwencjonalna dusza zadrżała na samą myśl o tak niesamowitym wykroczeniu.

— W tym ogródku, sir, rosną najpiękniejsze w Anglii żółte bratki – syczał w ucho majora kusiciel. – Pomogę panu się wdrapać.

Zapewne nikt nigdy się nie dowie, jak do tego doszło, ale wszechmocna pasja życiowa przewyciężyła snadź wszelkie hamulce tradycji i major z rozmachem jawnie świadczącym, że niczyja pomoc nie jest mu potrzebna, lekko wskoczył na krawędź muru, za którym krył się dziwny ogródek. W chwilę potem trzepocące o kolana poły

płaszcz sprawiły, że major poczuł się niewypowiedzianie głupio. Ale już w następnym momencie wszelkie takie błahostki rozwiały się bezpowrotnie w przerażającym wstrząsie zdumienia. Czegoś podobnego stary żołnierz nie doświadczył nigdy jeszcze w całym swym twardym i tułaczym życiu. Wzrok jego padł na ogródek i odkrył tam olbrzymią dekorację z bratków rosnących na dużej grzędzie, pośrodku trawnika. Były wspaniałe, tym razem jednak ich botaniczne walory uszły uwagi majora Browna, gdyż bratki posadzone były w taki sposób, iż uformował się z nich ogromny napis, złożony z samych dużych liter:

ŚMIERĆ MAJOROWI BROWN

Jakiś miło wyglądający staruszek, z siwymi bokobrodami, zajęty był właśnie podlewaniem grządkki.

Major szybko spojrzął za siebie, na leżącą w dole uliczkę. Człowiek z taczkami gdzieś zniknął. Spojrzął więc powtórnie na trawnik i na widniejący na nim niewiarygodny napis. Ktoś inny pomyślałby zapewne, że zwariował, ale majorowi nic podobnego nawet przez myśl nie przeszło. Kiedy romantyczne damy rozpyływały się nad jego bohaterstwem i wojskowymi odznaczeniami, major czuł się czasem rozpaczliwie prozaicznym osobnikiem, zarazem jednak uważał to za krzepiący na duchu dowód, że jest nieuleczalnie zdrowy. Być może kto inny pomyślałby z kolei, że padł ofiarą jakiegoś złośliwego figla, ale majorowi niełatwo było w to uwierzyć. Zbyt dobrze wiedział na podstawie własnego miłego doświadczenia, że dekoracje

ogrodowe wymagają dużo zachodu i są bardzo kosztowne, uważał więc za zupełny absurd, by komuś chciało się wyrzucać pieniądze za okno tylko dlatego, żeby spłatać mu niemilego figla. Nie znalazłszy żadnego logicznego wyjaśnienia, major, jako człowiek trzeźwo myślący, pogodził się z tym faktem i czekał, co dalej wyniknie. Prawdopodobnie postąpiłby tak samo, gdyby nagle natknął się na człowieka z sześcioma nogami.

Właśnie w tej chwili krzepki staruszek z siwymi bokobrodami spojrzął w górę i polewaczka wypadła mu z ręki znacząc wilgotny łuk na żwirowanej ścieżce.

— Kim pan jest, u licha? – wykrztusił, drżąc gwałtownie.

— Major Brown – zaprezentował się major, który zawsze w akcji zachowywał zimną krew.

Staruszek patrzył na niego bezradnie, niby jakaś potworna, wielka ryba. W końcu z dziką pasją wyjąkał:

— Niech pan tu zejdzie... niech pan zejdzie na dół!

— Do pańskich usług! – rzekł major i jednym skokiem znalazł się obok niego na trawniku, przy czym jedwabny cylinder nawet nie zachwiał mu się na głowie.

Staruszek obrócił się, ukazując szerokie plecy, i niepewnym truchtem ruszył w stronę domu, a major podążył za nim szybkim krokiem. Stary przewodnik wprowadził go tylnym wejściem do budynku. Minąwszy długie korytarze ponurego, ale bogato urządzonego domu znaleźli się pod drzwiami frontowego pokoju. Wtedy staruszek odwrócił się i w mroku zamajaczyła niewyraźnie jego wykrzywiona strachem twarz.

— Na litość boską – szepnął – niech pan tylko przypadkiem nie wspomni o szakalach.

Potem otworzył szeroko drzwi, przez które buchnął czerwony blask lampy, i głośno tupiąc zbiegł po schodach.

Major wszedł, z cylindrem w ręku, do bogato urządzonego, jasno oświetlonego pokoju, w którym pełno było przedmiotów i czerwono połyskującego mosiądzu, pawich piór i purpurowych draperii. Jako człowiek znakomicie wychowany, pomimo tak tajemniczych okoliczności, major nie czuł się wcale skrępowany, przekonawszy się, że jedyną osobą w pokoju była młoda dama, która siedziała przy oknie pilnie przez nie wyglądając.

— Pani pozwoli – powiedział po prostu, kłaniając się uprzejmie – nazywam się Brown. Major Brown.

— Proszę usiąść – odparła dama, nie odwracając głowy.

Była ubrana w zieloną suknię, miała wdzięczną sylwetkę i ogniście rude włosy. Wyglądała dystygownie.

— Przyszedł pan zapewne – odezwała się zgnębnym głosem – w sprawie tego okropnego podatku od nieruchomości.

— Przyszedłem tu, łaskawa pani – odparł major – aby wyjaśnić, o co chodzi. Aby dowiedzieć się, dlaczego moje nazwisko figuruje w pani ogrodzie. A w dodatku ktoś się nim posłużył w sposób niezbyt przyjazny.

Major mówił surowym tonem, gdyż czuł się dotknięty. Niepodobna opisać, jakie wrażenie wywarł na nim ów słoneczny, spokojny ogród, który został przez kogoś wyzyskany dla tak zaskakującej i brutalnej pogroźki. Wieczór

był pogodny i trawa złociła się w miejscu, gdzie kwiatki, którym major poświęcił się bez reszty, wołały do nieba o jego własną krew.

— Nie wolno mi się oglądać, proszę pana – powiedziała nieznajoma dama. – Codziennie po południu muszę tak siedzieć zwrócona twarzą do ulicy, póki nie wybije szósta.

Jakieś dziwne i niezwykle olśnienie kazało prozaicznemu żołnierzowi przyjąć tę obraźliwą i tajemniczą wzmiankę bez najłżejszych oznak zdumienia.

— Zaraz będzie szósta – powiedział i zanim skończył, wiszący na ścianie, barbarzyński, mosiężny zegar wybił pierwsze uderzenie. Przy szóstym nieznajoma porwała się z krzesła i zwróciła w stronę majora najoryginalniejszą i zarazem najbardziej pociągającą twarz, jaką w swym życiu widział. Była to twarz szczerą, a zarazem zwodniczą jak u nimfy.

— Skończył się trzeci rok mego oczekiwania! – zawołała nieznajoma. – Właśnie dziś wypada rocznica. Po tak długim oczekiwaniu marzę wprost, żeby ta okropność raz wreszcie się wydarzyła.

Zanim skończyła mówić, rozdzierający krzyk przerwał nagle ciszę. Znad samego chodnika, gdzieś w dole mrocznej ulicy (zaczęło się już ściemniać) jakiś ochrypty głos krzychał bezlitośnie i głośno:

— Majorze Brown, majorze Brown, gdzie kryją się szakale?

Major powziął decyzję szybko i w milczeniu. Zamasztyłym krokiem ruszył do okna i wychylił się przez nie. Na spowitej w błękitnym mroku ulicy, na której kilka latarni zaczynało jarzyć się żółtym, mdłym światłem, nie było

śladu życia. Major cofnął się w głąb pokoju i zobaczył, że dama w zielonej sukni drży z lęku.

— To koniec – szeptała drżącymi wargami. – To może być zapowiedzią śmierci nas obojga. Skoro tylko...

Ale jeszcze nie skończyła mówić, gdy słowa jej zagłuszył nowy ochrypty krzyk, dobiegający z ciemnej ulicy i znów tak samo przeraźliwie wyraźny.

— Majorze Brown, majorze Brown, jak zdychają szakale?

Major wypadł przez drzwi i zbiegł po schodach, ale znowu spotkał go zawód. W polu widzenia nie było nikogo, a ulica była tak długa i pusta, że złowieszczy prześladowca nie mógłby nią uciec. Nawet prozaiczny major poczuł się niepewnie wróciwszy po chwili do salonu. Ale zaledwie wszedł, przeraźliwy głos odezwał się znowu:

— Majorze Brown, majorze Brown, gdzie...

Major niemal jednym susem znalazł się na ulicy i tym razem zdążył na czas... zdążył zobaczyć coś, co na pierwszy rzut oka ścięto mu krew w żyłach. Krzyki pochodziły najwidoczniej z ust ściętej głowy ludzkiej, spoczywającej na chodniku.

Ale już w następnej chwili pobladły major pojął, o co chodzi. Głowa należała do mężczyzny, który wysuwał ją przez otwór do zrzucania węgla, znajdujący się na ulicy. Niemal natychmiast znów znikła, a major zwrócił się do nieznamomej damy:

— Gdzie się znajduje pani piwnica na węgiel? – zapytał, wychodząc na korytarz.

Spojrzała na niego szarymi, wystraszonymi oczyma.

— Pan nie może tam zejść! – zawołała. – Sam, do czarnej nory, w której siedzi ta bestia!

— Czy to tędy? – rzucił w odpowiedzi major i przeskakując po trzy stopnie, zbiegł na dół kuchennymi schodami. Otworzył na rozcież drzwi czarnego lochu i wszedł do środka, szukając w kieszeni zapatek. Miał więc prawą rękę uwięzioną, gdy wielkie, wstrętne łapy, widocznie należące do ogromnego mężczyzny, wyłoniły się z ciemności i chwyciły go za kark. Przyginały go coraz niżej i niżej do ziemi, jak gdyby uzmysławiając mu ostateczne przeznaczenie. Ale głowa majora, mimo tak nienormalnej pozycji, zachowała idealną jasność i zdolność myślenia. Major poddawał się spokojnie brutalnemu uściskowi i ugiął się pod jego naporem, póki nie znalazł się niemal na czworakach. Wtedy zaś, mając kolana niewidzialnego potwora na wysokości swoich oczu, wsunął po prostu długą, kościstą, znakomicie wyćwiczoną rękę i chwycił przeciwnika za muskuł łydki. Poderwał mu nogę w górę i z trzaskiem powalił olbrzyma na ziemię. Nieprzyjaciel usiłował wstać, ale major skoczył na niego jak kot. Zaczęli się tarzać po ziemi. Chociaż przeciwnik majora był ogromnym mężczyzną, najwyraźniej marzył teraz tylko o tym, by uciec. Kręcił się na wszystkie strony usiłując przedostać się poza majorem do drzwi, ale uparty pogromca trzymał go mocno jedną ręką za kołnierz marynarki, drugą zaś miał kurczowo zaciśniętą na belce pod pułapem. Dłuższe jednak utrzymywanie ludzkiej bestii na uwięzi okazało się zbyt wielkim wysiłkiem i major obawiał się, że pod wpływem strasznego naprężenia mięśni ręka mu trzaśnie i oderwie się od ramienia. Ostatecznie jednak coś innego trzaśło i oderwało się... a ciemna, opasła postać

olbrzyma znikła z piwnicy, pozostawiając w ręku majora rozerwaną marynarkę. Była ona jedynym zyskiem z tej przygody i zarazem jedynym kluczem do rozwiązania niesamowitej zagadki. Kiedy bowiem major wszedł na górę i stanął we frontowych drzwiach, okazało się, że nieznamy dama, bogate draperie i całe umeblowanie domu znikło również bez śladu, pozostały zaś tylko gołe deski podłogi i nagie, bielone ściany.

— Nieznajoma dama była oczywiście w zмовie – powiedział Rupert, kiwając głową. Major Brown zaczerwiecił się gwałtownie.

— Pan wybaczy, sir – odparł – ale nie sądzę... by tak było.

Rupert uniósł brwi i popatrzył na niego przez chwilę, ale nic nie powiedział. Kiedy znów się odezwał, zapytał:

— Czy znalazł pan coś w kieszeniach marynarki?

— Było w nich siedem pensów i jedna półpensówka miedziakami, a prócz tego jedna moneta trzypensowa – dokładnie wyliczał major. – Poza tym papierośnica, kawałek sznurka i ten list – położył kartkę papieru na stole. Treść jego była następująca:

Wielmożny panie Plover!

Z przykrością dowiedziałem się, że w wykonaniu naszej umowy dotyczącej majora Browna nastąpiła złotka. Proszę dopilnować, żeby zgodnie z umową, został on jutro napadnięty. Naturalnie w piwnicy.

*Z poważaniem,
P. G. Northover*

Rupert Grant wychylił się w przód, słuchając z dra-
pieźnie przymrużonymi oczyma. Nagle wtrącił:

— Czy jest adres nadawcy?

— Nie... ależ tak! – zawołał major, ponownie zerk-
nąwszy na list. – 14, Tanner’s Court, North...

Rupert porwał się z krzesła i wznosił ręce w górę.

— Na co więc jeszcze czekamy? Chodźmy tam zaraz!
Bazyli, pożycz mi swego rewolweru.

Bazyli patrzył na żarzące się węgle, jak gdyby pogrą-
żony w transie, i nie od razu zdobył się na odpowiedź.

— Nie sądzę, żeby okazał ci się potrzebny – powie-
dział.

— Może masz rację – przyznał Rupert, wkładając fu-
tro. – Ale nigdy nie wiadomo, jeśli się idzie po ciemku na
spotkanie ze zbrodniarzami...

— Czy myślisz, że to są zbrodniarze? – zapytał go
brat.

Rupert zaśmiał się głośno.

— Zlecenie swojemu podwładnemu, żeby zadusił
w piwnicy zupełnie niewinnego obcego człowieka, może
ci się wydawać niewinnym eksperymentem, ale...

— Czy uważasz, że oni chcieli naprawdę zadusić ma-
jora? – zapytał Bazyli tym samym dalekim, monotonnym
głosem.

— Ależ, mój kochany, chyba spałeś. Spójrz na ten list.

— Patrzę na list – spokojnie odparł zwariowany sę-
dzia, chociaż w rzeczywistości patrzył w ogień na komin-
ku. – Nie wydaje mi się, aby zbrodniarz mógł napisać
podobny list do swego kompana.

— Jesteś wspaniały, kochany braciszku! – zawołał Rupert, obracając się. Jego żywe, niebieskie oczy śmiały się wesoło. – Twój sposób rozumowania zadziwia mnie. Przecież tu leży ten list. Jest napisany i zawiera rozkaz popełnienia zbrodni. Z równym powodzeniem mógłbyś twierdzić, że kolumna Nelsona nie jest ani trochę podobna do pomnika, który stoi na Trafalgar Square.

Bazyli zatrząsł się, jak gdyby w paroksyzmie cichego śmiechu, ale pozostał niewzruszony.

— To ci się nawet udało – powiedział – jednak logika nie na wiele się tutaj przyda. To kwestia duchowej atmosfery tego listu. To nie jest list kryminalisty.

— Ależ tak! To przecież fakt... – upierał się Rupert przy swym logicznym rozumowaniu.

— Fakty... – szepnął Bazyli, jak ktoś wymieniający nazwę jakichś dziwnych, egzotycznych stworów – fakty straszliwie zaciemniają prawdę. Może jestem głupi... tak, jestem zwariowany... ale jakoś nigdy nie mogłem uwierzyć w genialność tego człowieka... Jakże się nazywa bohater tych świetnych opowiadań?... O, już wiem, Sherlock Holmes! To jasne, że każdy drobiazg do czegoś prowadzi, najczęściej jednak w mylnym kierunku. Wydaje mi się, że fakty wskazują we wszystkie strony, jak niezliczone, drobne gałązki olbrzymiego drzewa. Ale w drzewie tylko życie jest nieujarzmione i prze w górę... tylko jego zielona krew wystrzela w górę jak fontanna... do gwiazd...

— Jakież u licha może to wszystko mieć sens, jeśli to nie jest list kryminalisty?

— Mamy przed sobą całą wieczność, żeby sobie nad tym łamać głowę – odparł niepoprawny mistyk. – Może to oznaczać nieskończoną ilość rzeczy... Nie widziałem ich... Widziałem tylko ten list. Ale wystarczy mi na niego spojrzeć, żeby powiedzieć, iż nie pisał go kryminalista.

— Cóż więc może mieć za sens?

— Nie mam najmniejszego pojęcia.

— Czemu w takim razie nie chcesz przyjąć najprostszego wyjaśnienia?

Bazyli patrzył jeszcze przez chwilę w żarzące się kominku węgle i zdawał się cierpliwie, a nawet z pewnym wysiłkiem zbierać myśli. W końcu powiedział:

— Wyobraź sobie, że wyszedłeś z domu w księżycową noc. Wyobraź sobie, że idziesz przez pewien czas cichymi, srebrnymi ulicami i zaułkami, aż wreszcie wychodzisz na rozległy, otwarty plac, na którym stoi wiele pomników, i nagle widzisz tam kogoś tańczącego w srebrzystym mroku, w stroju baletnicy. Wyobraź sobie, że przyglądasz się temu komuś uważniej i widzisz, że to jest przebrany mężczyzna. Patrzysz więc jeszcze uważniej i okazuje się, że to lord Kitchener. Co byś sobie wtedy pomyślał?

Przerwał na chwilę, a potem mówił dalej:

— Nie mógłbyś przecież przyjąć najprostszego wyjaśnienia. Najprostszym bowiem wyjaśnieniem faktu, że ktoś przebiera się w jakiś niezwykły strój, jest zazwyczaj to, że chce ładnie wyglądać. Ale nie mógłbyś nawet przez chwilę posądzać lorda Kitchenera o to, że przebrał się za baletnicę powodowany zwykłą próżnością. Wydałoby ci się o wiele prawdopodobniejsze, że odziedzyczył po

którejs z prababek szła tańca albo że go zahipnotyzowano na jakimś seansie spirytystycznym... Ewentualnie, że jakaś tajemnicza szajka zagroziła mu śmiercią, gdyby odmówił tej próby. W wypadku Baden-Powella, powiedzmy, mógłby to być jakiś zakład... ale nie z lordem Kitchenerem... to w żadnym razie. Dla mnie byłoby to zupełnie jasne, bo znałem go dość blisko za czasów mego urzędowania. Znam się również na takich listach i dobrze znam świat przestępczy. Tego listu nie pisał kryminalista. W takich razach wszystko polega na pewnym wyczuciu.

– Przymknął oczy i przesunął ręką po czole.

Rupert i major patrzyli na niego z szacunkiem i zarazem lekkim politowaniem. W końcu Rupert powiedział:

— W każdym razie pójdę tam zaraz i nadal będę myślał... o ile nie rozwiążesz swojej filozoficznej zagadki... że człowiek, który wysyła list namawiający do przestępstwa i to do przestępstwa konkretnego, a w dodatku popełnionego, czy, powiedzmy, zamierzonego, musi według wszelkiego prawdopodobieństwa odznaczać się raczej podejrzaną moralnością. Czy możesz mi dać ten rewolwer?

— Oczywiście – odparł Bazyl, wstając. – Ale pójdę razem z tobą. – I owinąwszy się jakimś starym płaszczem czy peleryną, wziął z kąta swoją laskę, z ukrytą w środku szpadą.

— Ty?! – wykrzyknął Rupert, nie ukrywając zdumienia. – Ty, który tak rzadko opuszczasz swoją norę, by wyjść, co się dzieje na powierzchni ziemi?

Bazyl włożył straszliwie stary, biały kapelusz.

— Bo bardzo rzadko – powiedział z być może nieświadomością, ale bezmierną pewnością siebie – zdarza mi się postyszeć, że na powierzchni ziemi stało się coś, czego nie umiem sobie od razu wytłumaczyć bez konieczności sprawdzenia na miejscu.

I pierwszy wyszedł w fioletowy mrok wieczoru.

Szybkim krokiem minęliśmy we czterech słabo oświetlone uliczki Lambeth i przez Westminster Bridge, a potem Embankment skierowaliśmy się w stronę tej części Fleet Street, która prowadzi do Tanner's Court. Wyprostowana, ciemna postać majora, oglądana z tyłu, stanowiła zabawny kontrast z pochylonym czujnie, niby węszący pies Rupertem Grantem, który biegł w rozwianym płaszczu, z dziecięcą radością przybierając przeróżne dramatyczne pozy powieściowego detektywa. Najmilszą z wielu miłych cech jego charakteru był chłopięcy głód, z jakim delectował się barwą i poezją Londynu. Bazyli, który szedł na końcu, z twarzą wzniesioną nieprzytomnie ku gwiazdom, wyglądał jak lunatyk.

Na rogu Tanner's Court Rupert zatrzymał się, z miłym dreszczykiem emocji oczekując niebezpiecznej przygody, i mocniej ścisnął rękojeść ukrytego w kieszeni rewolweru.

— Czy od razu tam wejdziemy? – zapytał.

— Nie wezwiemy policji? – wtrącił major, byстрыm wzrokiem rozglądając się po ulicy.

— Chyba nie warto – odparł Rupert, ścigając brwi.

— Niewątpliwie może to być jakiś podstęp, ale jest nas trzech i...

— Nie wzywałbym policji – powiedział Bazyli dziwnym tonem. Rupert spojrział na niego i z niepokojem utkwiał wzrok w jego twarzy.

— Bazyli! – zawołał. – Przecież ty drżysz... Co ci się stało... czy się boisz?

— Może panu jest zimno – dodał major, przyglądając się sędziemu. Nie ulegało wątpliwości, że wstrząsały nim dreszcze.

W końcu, po dłuższej chwili badawczej obserwacji, Ruperta porwała złość.

— Przecież ty się śmiejesz! – zawołał. – Dobrze znam ten twój przekłęty cichy chichot. Co cię, u licha, tak bawi, Bazyli? Stoimy tu we czterech, o krok od jaskini tych łotrów...

— A ja jednak nie wzywałbym policji – powtórzył Bazyli. – Czterech takich bohaterów, jak my, na pewno sprostą całemu wrogiemu zastępowi. – I w dalszym ciągu zanosił się swoim tajemniczym chichotem.

Rupert odwrócił się od niego zniecierpliwiony i szybko skręcił w uliczkę, a my wszyscy podążyliśmy za nim. Kiedy odnalazł drzwi oznaczone numerem 14, odwrócił się nagle, z rewolwerem błyszczącym w dłoni.

— Stańcie bliżej – szepnął tonem dowódcy. – Ten łotr może właśnie zamierzać ucieczkę. Musimy pchnąć gwałtownie drzwi i wpaść do środka.

Wszyscy trzej natychmiast przyczailiśmy się pod drzwiami i zastygliśmy w bezruchu, z wyjątkiem starego sędziego, którym nadal wstrząsały parokszymy tajonego śmiechu.

— Słuchajcie – syknął Rupert, nagle obracając ku nam przez ramię swoją bladą twarz i płonące oczy. – Jak tylko powiem „cztery”, wpadniecie za mną wszyscy do środka. Jeśli powiem „łapać”, chwytajcie ich, kimkolwiek by się okazali. Jeśli powiem „stop”, stójcie. Powiem tak, jeśli by się okazało, że jest ich więcej niż trzech. Gdyby nas zaatakowali, wpakuję w nich cały magazynek mojego rewolweru. Bazyli, trzymaj swoją łaskę w pogotowiu. No, teraz... raz, dwa, trzy, cztery!

Na dźwięk tego słowa pchnęliśmy gwałtownie drzwi i jak najeźdźcy, z impetem wpadliśmy do środka, po to, by znieruchomieć w progu.

Pokój, który wyglądał jak zwykłe, przyzwoicie umeblowane biuro, na pierwszy rzut oka wydawał się zupełnie pusty. Ale kiedy rozejrzeliśmy się dokładniej, za ogromnym biurkiem z niezliczoną ilością schowków i szufladek zobaczyliśmy ukrytego niskiego pana, z czarnymi, wypomadowanymi wąsikami. Miał prezencję typowego urzędnika i był pogrążony w pisaniu. Uniósł głowę, kiedy zamarliśmy nieruchomo w drzwiach.

— Czy panowie stukali do drzwi? – zapytał uprzejmie. – Przepraszam bardzo, że nie usłyszałem. Czym mogę służyć?

Nastąpiła chwila konsternacji, a potem za ogólną aprobatą, naprzód wysunął się major jako poszkodowana ofiara napaści.

W rękę trzymał list i wyglądał niezwykle posępnie.

— Czy pan nazywa się P. G. Northover? – zapytał.

— Tak jest – odparł tamten, uśmiechając się grzecznie.

— Przypuszczam – rzekł major, a jego ponura twarz sięgnęła jeszcze bardziej – że to pan pisał ten list? – I z trzaskiem rozpląsnął na biurku rozpostarty list, przygważdżając go zaciśniętą pięścią.

Pan, który nazywał się Northover, popatrzył na list z nieudawanym zainteresowaniem i spokojnie skinął potakująco głową.

— Pragnąłbym wiedzieć, mój panie – rzekł major, dysząc ciężko – co to ma znaczyć?

— Właśnie, co to ma znaczyć? – powtórzył pan z wąsikami.

— Jestem major Brown – rzekł major surowo. Northover skłonił się.

— Bardzo mi przyjemnie, sir. Co mi pan ma do zakomunikowania, panie majorze?

— Do zakomunikowania! – krzyknął major, w nagłym porywie pasji. – To ja chcę wreszcie raz na zawsze wyjaśnić tę przekłętą sprawą! Chcę...

— Naturalnie, panie majorze – powiedział Northover, lekko unosząc brwi i zrywając się z krzesła. – Zechce pan chwilę spocząć. – Nacisnął umieszczony bezpośrednio nad głową dzwonek, który drgnął i zadźwięczał w sąsiednim pokoju. Major wsparł się ręką na poręczu zaofiarowanego mu krzesła, ale stał nadal, gniewnie tupiąc w podłogę swym wspaniale wypolerowanym butem.

Po chwili szklane drzwi, umieszczone w głębi pokoju, otworzyły się i jasnowłosy wątlý młodzieniec w fartuchu ukazał się w progu.

— Panie Hopson – zwrócił się do niego Northover – oto major Brown. Zechce pan zakończyć sprawę pana majora, którą powierzyłem panu dziś rano, i przynieść potem tutaj papiery.

— Tak jest, proszę pana – powiedział pan Hopson i zniknął jak błyskawica.

— Bardzo panów przepraszam – powiedział nieocenyony pan Northover, uśmiechając się w swój promienny sposób – ale pozwolą panowie, że będę kończył swoją pracę, póki pan Hopson nie będzie gotów. Mam jeszcze kilka ksiąg do sprawdzenia przed moim jutrzejszym wyjazdem na urlop. Wszyscy lubimy odetchnąć trochę świeżym powietrzem, prawda? Ha, ha, ha!

Obłudny zbrodniarz porwał swe pióro z dziecięcym niewinnym chichotem, po czym w pokoju zapadło milczenie. Było ono pogodne i pracowite, jeśli chodzi o osobę pana Northovera, a dyszące wściekłością ze strony wszystkich pozostałych.

W końcu w zakłócające ciszę skrzypienie pióra pana Northovera wmieszało się pukanie do drzwi i niemal równocześnie stuknięcie naciśniętej klamki, po czym w pokoju zjawił się pan Hopson. Z takim samym jak uprzednio niemym pośpiechem położył przed swoim szefem jakiś papier i natychmiast znów zniknął.

Celebrujący za biurkiem dyrektor skubał i podkręcał przez chwilę swoje spiczaste wąsiki, bacznie przebiegając wzrokiem przedstawiony mu arkusz. Mimo woli lekko ściągnął brwi, ujął pióro i zrobił jakąś poprawkę, mrużąc niewyraźnie: – Nieuwaga. – Potem jeszcze raz przejrzał

papier z tą samą nieprzeniknioną powagą i w końcu wręczył go rozwścieczonemu majorowi, który nerwowo bębnił palcami po poręczu krzesła.

— Mam nadzieję, że znajdzie pan wszystko w porządku, panie majorze – powiedział krótko.

Major zaczął czytać otrzymany papier. Czy znalazł wszystko w porządku, czy nie, przekonamy się później, w każdym razie znalazł, co następuje:

P. G. Northover

Rachunek dla pana majora Browna

	<i>F.</i>	<i>sz.</i>	<i>pensy</i>
<i>1 stycznia – za zlecenie</i>	<i>5</i>	<i>6</i>	<i>0</i>
<i>9 maja – doniczkowanie i wysadzenie 200 flanców bratków</i>	<i>2</i>	<i>0</i>	<i>0</i>
<i>Opłata za taczkę z kwiatami</i>	<i>0</i>	<i>15</i>	<i>0</i>
<i>Wynajęcie człowieka z taczkami</i>	<i>0</i>	<i>5</i>	<i>0</i>
<i>Wynajęcie domu i ogrodu na jeden dzień</i>	<i>1</i>	<i>0</i>	<i>0</i>
<i>Dekoracja pokoju draperiami w parwie oka, mosiężnymi drobiazgami itp.</i>	<i>3</i>	<i>0</i>	<i>0</i>
<i>Wynagrodzenie panny Jameson</i>	<i>1</i>	<i>0</i>	<i>0</i>
<i>Wynagrodzenie pana Plovera</i>	<i>1</i>	<i>0</i>	<i>0</i>
<i>Razem</i>	<i>14</i>	<i>6</i>	<i>0</i>

Uprzejmie prosimy o uregulowanie

— Co... – po chwili grobowej ciszy wykrztusił major, z oczami nabiegłymi krwią. – Co to wszystko, do licha, ma znaczyć?

– Co to ma znaczyć? – powtórzył Northover ubawiony, mrugając znacząco okiem. – To po prostu pański rachunek, panie majorze.

– Mój rachunek! – Myśli majora rozpierzchły się w szalonej gonitwie. – Mój rachunek! I cóż ja mam z tym zrobić?

– Jeśli mam być szczery – powiedział Northover, tym razem śmiejąc się jawnie – najlepiej by mi dogadzało, żeby go pan uregłował.

Dłoń majora wciąż jeszcze spoczywała na poręczu krzesła, gdy padły te słowa. Major prawie nie drgnął, ale jedną ręką uniósłszy ciężkie krzesło w powietrze, z całych sił cisnął nim w głowę Northovera.

Szczęśliwym trafem nogi krzesła zawadziły po drodze o biurko, Northover został więc tylko lekko ugodzony w łokieć, w momencie gdy z zaciśniętymi pięściami zrywał się z miejsca. Natychmiast jednak rzuciliśmy się wszyscy i pochwyciliśmy go wspólnym wysiłkiem. Krzesło upadło z hukiem na podłogę biura.

– Puszczajcie mnie, wy łobuzy! – krzyczał. – Puszczajcie mnie...

– Spokój! – krzyknął Rupert rozkazującym tonem. – Postępek majora Browna jest całkowicie usprawiedliwiony. Ohydna zbrodnia, którą pan usiłował...

– Klient ma pełne prawo – ostro zaprotestował Northover – zakwestionować jakąś może zbyt wygórowaną kwotę, ale, do licha ciężkiego, nie ma przecież prawa rzucać meblami!

– Co pan, do diaska, rozumie przez tych swoich klientów i wygórowane kwoty? – krzyczał przenikliwie major,

gdyż będąc obdarzony z natury niemal kobiecą wrażliwością, umiał spokojnie znosić ból i niebezpieczeństwo, lecz wpadał prawie w histerię w obliczu każdej długotrwałej i dręczącej zagadki.

— Kim pan jest? Nigdy w życiu nie widziałem ani pana, ani tych pańskich bezczelnych, szachrajskich rachunków! Wiem tylko, że jeden z pańskich przeklętych sługusów chciał mnie udusić...

— Wariat – szepnął Northover, błędnym wzrokiem rozglądając się wokoło. – Wszyscy czterej wariaci. Nigdy nie przypuszczałem, że chodzą czwórkami...

— Dość tych krętaństw! – krzyknął Rupert. – Pańskie zbrodnie zostały zdemaskowane. Na rogu ulicy czeka policjant. Chociaż jestem tylko prywatnym detektywem, pozwalam sobie ostrzec pana, że wszystko, co pan powie...

— Wariat – znużonym głosem powtórzył Northover.

W tym momencie po raz pierwszy wpadł między nich dziwny, senny głos Bazylego Granta.

— Majorze Brown – powiedział – czy mogę zadać panu jedno pytanie?

Major obrócił głowę w jego stronę, niezmiernie zdumiony.

— Pan! – zawołał. – Ależ naturalnie, panie sędzio.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć – mówił dalej mityk, który siedział z pochyloną głową i nisko opuszczonym czołem, rysując końcem laski jakieś wzory na zakurzonej podłodze – czy mógłby mi pan powiedzieć, jak się nazywał lokator, który przed panem mieszkał w pańskim domu?

Nieszczęsnego majora nie zdziwiła już zbytnio ta ostatnia, nieszkodliwa zresztą dygresja, odparł więc poważnie:

— Sądzę, że tak. Nazywał się Gurney czy coś podobnego... jakieś złożone nazwisko... Gurney-Brown! O, właśnie tak.

— A kiedy dom zmienił lokatorów? – zapytał Bazyli, nagle podnosząc głowę. W jego dziwnych oczach płonął blask.

— Przeniósłem się w zeszłym miesiącu – odparł major.

Zaledwie przebrzmiały te słowa, zbrodniczy Northover upadł nagle na swój wielki biurowy fotel, zanosząc się niepowstrzymanym śmiechem.

— Och! To świetne... nie, to zbyt wspaniałe – dyszał z trudem, waląc pięściami w poręczce fotela. Śmiał się na cały głos, Bazyli Grant chichotał cicho, a reszta z nas czuła tylko, że nasze głowy wirują jak kurki na dachu podczas wichury.

— Do ciężkiego diabła, Bazyli! – krzyknął Rupert, tupiąc nogą. – Jeśli nie chcesz, żebym oszalał i roztrząsał twój filozoficzny łeb, powiedz mi, co to wszystko znaczy?

Northover wstał.

— Niech pan pozwoli, że ja to wytłumaczę, sir – powiedział. – Ale przede wszystkim niech pan major Brown pozwoli mi przeprosić się za tę okropną i niewybaczalną omyłkę, która naraziła go na nader groźne i niemiłe przejścia, przy czym pozwolę sobie zauważyć, że zachował się pan w tych opresjach z zadziwiającą godnością i odwagą.

Proszę się, oczywiście, nie troszczyć o rachunek. Chętnie poniesiemy tę stratę. – Systematycznie przedarł rachunek i obie połówki wyrzucił do kosza na śmieci, skłoniwszy się przy tym majorowi.

Ale na obliczu biednego majora nadal malowało się szalone zdumienie.

– Wszystko to jednak w dalszym ciągu nie mieści mi się w głowie! – zawołał. – Co za rachunek? Jaka omyłka? Co za strata?

Pan P. G. Northover wysunął się z powagą na środek pokoju, bezwiednie przybierając niezmiernie godny wyraz twarzy. Po dokładniejszym przyjrzeniu się jego powierzchowności dostrzegano się dalsze charakterystyczne szczegóły, poza podkręconym wąsikiem – przede wszystkim więc długą szczupłą twarz o żółtawej cerze i ostrych rysach, nie pozbawioną wyrazu pewnej melancholijnej inteligencji. Nagle podniósł głowę:

– Czy pan wie, gdzie pan się teraz znajduje, panie majorze? – zapytał.

– Bóg mi świadkiem, że nie mam pojęcia – stwierdził major z głębokim przekonaniem.

– Jest pan w biurze Agencji Romantycznej Przygody Sp. z o. o. – odparł Northover.

– A to co znowu? – zapytał ośupiały major.

Praktyczny businessman przechylił się nad poręczą krzesła i utkwiał ciemne oczy w twarzy swego rozmówcy.

– Panie majorze – powiedział – czy zdarza się panu niekiedy spacerując po pustych ulicach w jakieś wolne popołudnie, odczuwać nieposkromione pragnienie, żeby

się coś stało...? Mówiąc cudownymi słowami Walta Whitmana: „Coś zgubnego i straszliwego, nie związanego z przeciętnym, nabożnym życiem, coś jak gdyby w transie, oderwanego od wszelkiej kotwicy i żeglującego swobodnie”. Czy odczuwał pan kiedyś coś podobnego?

— Nigdy w życiu – krótko odparł major.

— Wobec tego będę musiał wyjaśnić szczegółowiej – westchnął pan Northover. – Agencja Romantycznej Przygody powstała, aby zaspokoić pewne współczesne silne pragnienie. Wszędzie i na każdym kroku, w rozmowach, w literaturze wyczuwamy powszechną tęsknotę za jakąś przygodą w szerszym rozumieniu tego słowa... za czymś niespodziewanym i sprowadzającym na wspaniałe bezdroża. A więc każdy, kto tęskni do przygody i urozmaiconego życia, wpłaca rocznie czy też kwartalnie pewną sumę Agencji Romantycznej Przygody, ona zaś zobowiązuje się dostarczyć mu w zamian dziwnych i niesamowitych przeżyć. Ktoś na przykład wychodzi z domu i zaraz przed drzwiami łapie go rozgorączkowany zamiatacz uliczny, ostrzegając o planowanym spisku na jego życie. Wsiada potem do drożki i zawożą go do palarni opium. Dostaje tajemniczą depeszę lub następują jakieś dramatyczne odwiedziny i ów ktoś jest od razu wciągnięty w wir niezwykłych wydarzeń. Najpierw jeden z grona naszych wybitnych pisarzy, którzy właśnie w tej chwili ciężko mozolą się w sąsiednim pokoju, pisze jakąś niezwykłą i wstrząsającą opowieść. Pańską, majorze Brown (napisaną przez utalentowanego pana Grigsby), uważam za szczególnie

porywającą i dowcipną. Wielka szkoda, że nie poznał jej pan do końca. Nie potrzebuję chyba wyjaśniać bliżej tej okropnej pomyłki. Poprzedni lokator zajmowanego obecnie przez pana domu, pan Gurney-Brown, był klientem naszej agencji i nasi roztrzepani urzędnicy, nie zwróciwszy dostatecznej uwagi zarówno na godność przydomka, jak i na chwałę wojskowej rangi, uznali po prostu, że major Brown i pan Gurney-Brown to jedna i ta sama osoba. W ten sposób został pan nagle wciągnięty w sam środek wątku cudzej roli.

— I jakże się waszej agencji powodzi? – zapytał Rupert Grant, z błyskiem zapału w oczach.

— Jesteśmy pewni, że spełniamy pożyteczną robotę – z głębokim przekonaniem odparł Northover. – Wielokrotnie uderzał nas fakt, iż największą bolączką współczesnego życia jest okoliczność, że człowiek naszych czasów zmuszony jest odbierać wszelkie artystyczne wrażenia w pozycji siedzącej. Jeśli chce pożegłować w krainę bajki, czyta książkę. Gdy chce rzucić się w wir walki, czyta książkę. Pragnąc wznieść się w niebiosa, czyta książkę, i chcąc wymigać się od prawa, też czyta książkę. Stwarzamy mu więc wszystkie te przeżycia, ale jednocześnie dostarczamy okazji do ćwiczeń fizycznych. Musi przeskakiwać z muru na mur, walczyć z jakimiś nieznanymi osobnikami lub długo uciekać po ulicach przed groźnym prześladowcą, a wszystko to jest zdrowym i przyjemnym ćwiczeniem. Pozwalamy mu, chociaż na mgnienie oka, przenieść się w cudowną przeszłość z epoki Robin Hooda i błędnych rycerzy, kiedy to życie

było wielką, pasjonującą przygodą, rozgrywającą się pod wspaniałą kopułą nieba. Zwracamy mu dzieciństwo, ten niebiański okres, w którym wolno nam odgrywać zaczarowane role, być własnymi ulubionymi bohaterami... tańczyć i marzyć jednocześnie...

Bazyli przypatrywał mu się ciekawie. Ale najdziwniejsza niespodzianka psychologiczna nastąpiła na samym końcu, gdy bowiem mały dyrektor agencji umilkł, oczy jego rozbłyły fanatycznym entuzjazmem.

Major Brown przyjął powyższe usprawiedliwienie z całkowitą prostotą i pogodą.

— Trzeba przyznać, że to niezwykle sprytne, sir – powiedział. – Pomysł jest bez wątpienia znakomity. Ale nie przypuszczam... – przerwał na chwilę i smętnie spojrzął przez okno. – Nie wydaje mi się, abym miał zostać Waszym członkiem... kiedy się na własne oczy widziało, rozumie pan... krew, jęki ludzkie... to potem marzy się tylko o małym domku i jakiejś nieszkodliwej manii... Pismo święte, pan wie: „I będzie samo odpocznienie...”

Pan Northover skłonił się. Po krótkiej chwili milczenia dodał:

— Panowie pozwolą, że wręczę im swój bilet wizytowy. Jeżeli któryś z pozostałych panów będzie chciał kiedyś skomunikować się ze mną, mimo poglądu majora Browna na te sprawy...

— Będę panu bardzo zobowiązany za pański bilet, sir – powiedział major, w swój zwykły szorstki, ale grzeczny sposób. – Zapłacę za krzesło.

Przedstawiciel Agencji Romantycznej Przygody z uśmiechem wręczył mu bilet.

Było na nim wydrukowane:

P. G. Northover, B. A., K. N. Z.,
Agencja Romantycznej Przygody,
14 Tanner's Court, Fleet Street.*

— Cóż, u licha, znaczy to K. N. Z.? – zapytał Rupert Grant, zaglądając majorowi przez ramię.

— Nie wie pan? – zdziwił się Northover. – Czy nigdy pan nie słyszał o Klubie Niezwykłych Zawodów?

— Zdaje mi się, że jest diabelnie dużo różnych zabawnych rzeczy, o których nigdy nie słyszeliśmy – filozoficznie zauważył major. – Ale jakie jest wyjaśnienie w tym wypadku?

— Klub Niezwykłych Zawodów jest stowarzyszeniem, którego członkiem może zostać wyłącznie ten, kto wymyśli jakiś nowy i ciekawy sposób zarobkowania. Jestem jednym z najdawniejszych jego członków.

— I w pełni pan na to zasługuje – odezwał się po raz ostatni tego wieczoru Bazyl, biorąc z uśmiechem swój wielki biały kapelusz.

Kiedy wszyscy czterej panowie wyszli, przedstawiciel Romantycznej Przygody z dziwnym uśmiechem wygasił ogień na kominku i zamknął swoje biurko.

* Bachelor of Art – tytuł naukowy.

— Dzielny facet z tego majora. Kiedy ktoś nie ma w sobie nic z poety, ma czasem szansę sam stać się poematem. Zabawne jednak, że nie kto inny, tylko ten wysoki, pedantyczny jegomość zaplątał się w sieci jednej z historii Grigsby'ego... – pomyślał pan Northover i zaśmiał się głośno wśród panującej w pokoju ciszy.

Śmiech jego nie przebrzmiał jeszcze, gdy rozległo się głośne pukanie do drzwi. Do pokoju wsunęła się sowa główka z czarnymi wąsami, w jakiś powściągliwy, a zarazem nedorzecznie wyczekujący sposób.

— Jak to? Znowu pan, panie majorze? – ze zdziwieniem wykrzyknął Northover.

Major wsunął się nerwowo do pokoju.

— Coś niesłychanego! – powiedział. – Musiało się we mnie chyba obudzić coś zupełnie mi dotąd nieznanego. Przysięgam panu jednak, że czuję rozpaczliwą chęć dowiedzenia się końca tego wszystkiego.

— Końca tego wszystkiego?

— Tak – odparł major. – Szakale, podatki i „śmierć majorowi Brown”.

Przedstawiciel Agencji Romantycznej Przygody przybrał poważny wyraz twarzy, ale jego oczy były rozbawione.

— Bardzo mi przykro, panie majorze – powiedział – lecz żąda pan ode mnie rzeczy niemożliwej. Nie znam osoby, której bardziej pragnąłbym się przysłużyć niż panu, ale przepisy naszej agencji są bardzo ścisłe. Przygody są poufne. Pan nie jest naszym członkiem i nie wolno mi

zdradzić panu nic ponad to, co konieczne. Mam nadzieję, że pan to zrozumie...

— Nie ma na świecie człowieka – odparł major Brown – który bardziej ode mnie ceniłby dyscyplinę. Dziękuję panu bardzo. Dobranoc.

I tym razem drobna postać majora znikła na dobre.

Ożenił się z panną Jameson, tajemniczą rudowłosą damą w zielonej sukni. Była aktorką zatrudnioną (jak wiele innych) przez Agencję Romantycznej Przygody. Jej małżeństwo z nie pierwszej młodości weteranem wywołało pewne poruszenie w poetyckim i intelektualnym środowisku, w którym się obracała. Powtarzała jednak zawsze z wielkim spokojem, że chociaż poznała wielu mężczyzn, którzy zachowywali się wspaniale w toku wymyślonych dla nich przez Northovera tajemniczych przygód, ale widziała tylko jednego, który nie zawahał się zejść do piwnicy, chociaż był przekonany, że czeka tam morderca.

Żyli z majorem, szczęśliwi jak ptaki, w śmiesznej, małej willi i major nauczył się palić fajkę. Poza tym nie zmienił się wcale – z wyjątkiem być może chwil, gdy ów żywy i niemal kobieco subtelny człowiek popadał w trans milczącej zadumy. Żona uśmiechała się wówczas po kryjomu, gdyż sądząc po nieprzytomnym wyrazie jego oczu, była pewna, że major zastanawia się, co to były za podatki i dlaczego nie wolno mu było wspominać o szakalach. Ale, jak wielu starych żołnierzy, major Brown był religijny, wierzył zatem, że dalszego ciągu tych niezwykłych przygód dowie się na drugim świecie.